



**WSCHODY
I ZACHODY
SŁOŃCA**

ALEKSANDRA TYL

Aleksandra Tyl (fragment książki)

WSCHODY ZACHODY SŁOŃCA

Gdańsk, rok 1936

Na stacji kolejowej panował gwar. Za kilka minut miał nadjechać pociąg i część podróżnych przemieszczała się z bagażami w kierunku torów. Ania poczuła rosnącą ekscytację. Już za chwilę będzie jechała do Warszawy, do Teatru Wielkiego, by spotkać się z prawdziwym Mistrzem. Już za chwilę znajdzie się na drodze do realizacji marzenia, o którym śniła przez ostatnich kilka lat. Nie miała wątpliwości, że zostanie przyjęta do szkoły baletowej. Nawet pani Gertruda, jej prywatna nauczycielka, uważała, że Ania ma niezwykle talent do tańca i przyjdzie czas, kiedy upomną się o nią największe sceny świata. Tak powiedziała: największe sceny świata. Chyba właśnie to zdanie przekonało w końcu rodziców, by posłać Anię do Warszawy. Najpierw tylko na egzamin, zaznaczył tata, a potem się zobaczy.

Ale Ania wiedziała, że jeśli zda egzamin, to tata postara się znaleźć sposób, by jedynaczka mogła rozpocząć naukę w stolicy Polski. Trochę żałowała, że Wolne Miasto Gdańsk nie miało szkoły baletowej, jednak pani Gertruda zawsze powtarzała, że ta w Warszawie jest jedną z najlepszych w całej Europie i warto ponieść trud podróży, a potem dźwigać ciężar utrzymania córki, ponieważ wszystko się opłaci. Sława jest w zasięgu ręki, mówiła z przekonaniem. I choć zarówno Ani, jak jej rodzicom na sławie nie zależało, to dziewczynka nie wyobrażała sobie życia bez tańca i tak długo wierciła dziurę w brzuchu taty, aż uległ, choć w podróż nie mógł się udać.

Ania z podniecenia przebierała nogami. Spojrzała na błyszczące czarne buciki. Wkrótce zamieni je na baletki. Już za chwilę, już za chwilę.

Odruchowo chwyciła mamę za dłoń i ścisnęła.

- Szkoda, że tatuś nie może z nami jechać – westchnęła.

- Nie marudź, wiesz, że ma obowiązki.

Zofia rozglądała się po peronie. Gdzież ta obsługa? Przecież nie będzie sama wnosić walizy do wagonu. Zdjęła rękawiczkę i ostentacyjnie zamachała kilkoma guldenami. Miała nadzieję, że zapach pieniędzy przywabi bagażowych.

Nagle jej wzrok padł na czapeczkę. Maleńka, biała czapka leżała przy dworcowej ławce, na której siedziała młoda, bardzo szczupła, wychudzona wręcz kobieta, trzymająca na rękach otulone w wypłowiasty koc niemowlę, może nawet noworodka. Dziecko miało zamknięte oczy, ale nie spało. Pomlaskiwało cicho, wysuwając główkę w kierunku kobiety.

Prawdopodobnie było głodne, choć jeszcze nie tak bardzo, by płakać. Młoda matka patrzyła przed siebie. Wzrok miała utkwiony w tory, beznamiętny, zmęczony. Zofia rozumiała ten stan. Też była zmęczona, kiedy urodziła się Ania. To ciągłe karmienie, przewijanie, bawienie. Nie było dnia, żeby nie płakała w poduszkę z wyczerpania. A przecież nie była sama. Miała pomoc. Nie musiała wtedy zajmować się domem, nie musiała wychodzić po sprawunki. Jednak opieka nad dzieckiem okazała się prawdziwym wyzwaniem. Mimo to nie zamieniłaby tych chwil na żadne inne. Ten zapach, te bezzębne uśmiechy córki wynagradzały trud. Z niekłamanym wzruszeniem spojrzała na niemowlaka. Schowała pieniądze do torebki i podążyła w kierunku ławki. Ania ruszyła za nią.

- Dzień dobry! – przywitała się Zofia z kobietą. – Dzijdzius coś zgubił – zauważyła z uśmiechem, podnosząc czapeczkę.

- Mamo, spójr! Kominiarz! – krzyknęła nagle Ania, chwytając się za guzik przy płaszczyku.

- Ciiii. Maluszek prawie zasnął, nie hałasuj mu nad uchem. To on, czy ona? – zagadnęła kobietę.

Tamta nie odpowiedziała. Nie spojrzała na Zofię, nie mrugnęła okiem.

- Zmęczona pani, rozumiem... - westchnęła Zofia. – A może nie mówi pani po polsku? – dodała ciszej, zawstydzona. Już nie raz zagadywała kogoś, a potem okazywało się, że to jednak Niemiec. Zofia nie znała niemieckiego.

- Czy teraz muszę znaleźć starego w kapeluszu? Czy młodego z brodą? – Ania nie była zainteresowana ani dzieckiem, ani jego matką. – Mamusiu! Niech mamusia pomoże, bo będę miała pecha!

- Ciiii, powiedziała. – Zofia przyłożyła palec do ust.

Na peronie zapanowało poruszenie. Z daleka słychać było gwizd, pociąg wtaczał się na stację. Zofia położyła czapeczkę na ławce i już miała odejść po pozostawiony nieopodal bagaż, kiedy kobieta z dzieckiem wstała i wolną ręką chwyciła ją za ramię.

- Tak? – Zofia się zatrzymała.

Kobieta tym razem spojrzała jej prosto w oczy, jednak wciąż nic nie mówiła. Zdecydowanym ruchem wcisnęła niemowlaka w ręce Zofii, odwróciła się i zaczęła biec.

Dziecko się rozplakało.

- Stary... Stary w kapeluszu! – niskim, jakby nieswoim głosem oznajmiła Zofia.

Oszołomiona Ania, patrząc na matkę z niemowlakiem w rękach, rozdziawiła usta.

- Gdzie? – spytała spontanicznie. Wciąż ścisnęła guzik.

- Tam. – Zofia brodą wskazała przeciwległy od torów kierunek. – Wyszedł, chodźmy za nim, prędko!

Głuche uderzenie, a potem pisk zatrzymywanego pociągu i krzyki ludzi ledwie dochodziły do świadomości Ani. Biegła za matką w kierunku wyjścia, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje.

- Mamusiu! – krzyknęła, kiedy już prawie opuszczały dworzec. – Nasze bagaże! Pociąg nam odjedzie! Mamusiu!

Zofia nie odpowiadała. Jej rozbiegane oczy przesuwwały się szybko, analizując otoczenie.

Wreszcie podbiegła do stojącego pod dworcem czarnego samochodu.

- Pan nas zawiezie – zaordynowała kierowcy, który właśnie gasił papierosa.

- Paniusia żarcik sobie stroi – prychnął mężczyzna, spluwając kątem ust resztki tytoniu. – Ja tu czekam na ważnego profesora.

- Zawieziesz nas na Oliverstrasse już – powiedziała silnym, zdecydowanym głosem Zofia, wpychając w dłoń kierowcy plik banknotów. – Zdązysz wrócić.

Mężczyzna, afiszując niezadowolenie, przyjął jednak pieniądze i otworzył drzwi.

- Mamusiu! - krzyknęła Ania, szarpiąc Zofię za rękaw i próbując powstrzymać. – Ale nasz pociąg! Niech mamusia coś zrobi, bo odjedzie bez nas! Gdzie jest ta pani? – spytała płaczącym tonem, patrząc na niemowlaka.

- Milcz teraz – nakazała Zofia. – Wracamy do domu.

**

Wszystko było inne. Niby ta sama kamienica, to samo mieszkanie, te same meble i sprzęty. A jednak wszystko było inne. Ania z przerażeniem patrzyła na zdenerwowaną matkę, usiłującą uspokoić płaczące dziecko. Bała się zapytać o cokolwiek. Zofia usiadła z niemowlęciem na łóżku i drżącymi dłońmi, zaczęła rozwijać je z kocyka.

- Chłopiec – szepnęła, załamującym się głosem. – Chłopiec...

Dziecko na chwilę ucichło. Kocyk był przemoczony. Zofia chwyciła leżącą u wezglowia poduszkę i zdjęła poszewkę. Owinęła nią niemowlaka. Potem okręciła go jeszcze swoim szalem. Chłopiec bez protestu poddawał się tym zabiegom, ale po chwili znów wydał z siebie rozdzierający płacz.

- Różańska niedawno rodziła, biegnij po nią! – krzyknęła Zofia.

Ania spojrzała na matkę, nierozumiejącym wzrokiem. Jaka Różańska? Dokąd biec?

- No, szybciej, szybciej! Różańska, ta gruba, co w piekarni na rogu pracuje. Powiedz, żeby przysłała jak najszybciej.

Ania podniosła się z krzesła i ruszyła do drzwi.

- Czekaj! – powstrzymała ją matka. – Powiedz jej, że ciocia Agata, siostra twojej mamy, zmarła przy porodzie. Zostawiła dziecko i nic dla niego nie mamy, niech pomoże.

Ciocia Agata? Ani kręciło się w głowie od nadmiaru informacji i wrażeń. Przecież mama nie miała siostry, tylko dwóch braci. Ciocia Agata? Umarła?

- No już, biegnij! Widzisz przecież, że nie daję rady! Tylko nie mów nic więcej, rozumiesz? Nic więcej, prócz tego, co ci nakazałam.

Rozumiała i nie rozumiała. To chyba jakiś sen i zaraz się obudzę, przemknęło jej przez myśl. Za chwilę przyjdzie tatuś i powie, że trzeba wstawać, zjeść śniadanie i spieszyć się na pociąg. Do Warszawy. To teatru. Do szkoły baletowej. Do tańca. Przyjdzie tatuś i...

- Ruszaj się! – krzyczała coraz bardziej zdenerwowana matka. Ania zauważyła, jak Zofia próbuje niemowlakowi podać pierś.

Różańska, która mieszkała nad piekarnią, nie zadawała zbędnych pytań. Usłyszawszy, co się stało, natychmiast zarzuciła na siebie obszerny koc, chwyciła kojec, starszym dzieciom powiedziała, że mają być grzeczne i ruszyła za Anią. Szły w pośpiechu, nie rozmawiając.

- Mój Boże, dobrze że pani jest! – Zofia wydała z siebie pełne ulgi westchnienie. – Takie nieszczęście – powiedziała. – Siostra moja, Agatka, umarła przed kilkoma dniami.

Przywieziono mi dzieciątko, przecież nie wyrzucę. Przewinęłam go i próbowałam dać pierś, żeby choć trochę oszukać. Ale mleko przecież nie polec.

- Da się pobudzić – zawyrokowała Różańska. – Trza przystawiać jak najczęściej, w końcu polec. Tak nas Pan Bóg stworzył, że nawet nie swoje dzieci możemy wykarmić. Pani się nie denerwuje. Spokoju trzeba, mleko wkrótce będzie. A póki co, pomogę.

Różańska delikatnie położyła zawiniątko z własnym niemowlakiem na łóżku i podeszła do Zofii. Wzięła od niej chłopca i usiadła na krześle. Nucąc coś pod nosem podała mu nabrzmiałą od mleka pierś. Syknęła, kiedy zassał.

- Upuszczę pani na zaś – powiedziała po chwili do Zofii. – Garnek jakiś niech pani znajdzie. Starczy do jutra. Ale proszę przykładać też swoje, zobaczymy, ile potrzebują, żeby się obudzić – roześmiała się. – Byle tego sztucznego nie dawać, mówią że niebezpieczne. Przynajmniej przez pierwsze trzy miesiące trzeba się postarać o cycka.

- A co jeśli nie zdołam z własnych pokarmu wykrzesać? – zapytała Zofia.

- Mojego nie braknie. Dogadamy się. – Różańska puściła oczko.

Ania w milczeniu, nerwowo skubiąc wargi, przysłuchiwała się rozmowie. Mleko wkrótce będzie... Starczy do jutra... Pierwsze trzy miesiące...

Słowa wirowały. Czowała się zagubiona. Gdzieś w głębi serca wciąż tliła się nadzieja, że to jakieś dziwne nieporozumienie, a mama zaraz się otrząśnie i powie: „Aniu, co my tu jeszcze robimy? Na pociąg trzeba!”.

Ale to się nie działo. Mama przejęła od Różańskiej nakarmione dziecko, zaczęła tulić je i kołysać.

- Dziękuję, pani Różańska – powiedziała. – Bardzo mi pani pomogła. – Aniu – zwróciła się z uśmiechem do córki. – Przyniesz no z kuchni jaki garnek – nakazała.

Premiera:

5 czerwca 2019 r.

WSCHODY
I ZACHODY
SŁOŃCA

ALEKSANDRA TYL